Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 146 (Rok X, Nr 3) 1 lutego 1950 Cena (Price) 1/6

# CARITAS W OKOWACH

Po mianowaniu Rosjanina dowódcą wojska polskiego, po brutalnym zerwaniu ostatnich nici łączących Polskę z Zachodem przez proces „szpiegów francuskich", trzeci w krótkim czasie cios w społeczeństwo polskie: likwidacja Caritasu.

Próby zmuszenia Kościoła w Polsce do ugięcia się i podporządkowania ideologicznego komunistom zawiodły. Szantaż nie poskutkował. Przyszły represje. Wedle znanej maksymy Goebbelsa: „Nie będę z klechów robił męczenników za wiarę, ale przemytników, defraudantów i zboczeńców", najpierw oskarżono oo. bonifratrów o czyny niemoralne w stosunku do nieletnich epileptyków w ich zakładzie a następnie działaczy wielkiej organizacji dobroczynnej „Caritas" w diecezji wrocławskiej o sprzeniewierzenia i popieranie finansowe ruchu podziemnego oraz współpracę z Gestapo. Szczególny atak przy tej okazji przypuszcza prasa komunistyczna na administratora diecezji wrocławskiej ks. Milika. Zorganizowano „protesty" organizacji społecznych i wystąpienia grupki księży-kapitulantów. Te ataki posłużyły do mianowania zarządu przymusowego „Caritasu" na cały kraj.

Do zarządu nie dano jawnych komunistów. Znalazło się tam paru nieznanych księży, paru przedstawicieli grupy tzw. reżymskich katolików z „posłem" Frankowskim na czele a także brnący coraz głębiej w wysługiwaniu się komunistom pisarz Paweł Jasienica. Jakimikolwiek kierują się ci ludzie motywami, rola ich jest obrzydliwa.

„Caritas", organizacja o olbrzymich zasługach społecznych, była ostatnią wielką instytucją społeczną katolicką. Jej upaństwowienie czy „ureżymienie" oznacza zamknięcie katolicyzmu w Polsce w obręb murów kościelnych i jest poważnym ciosem dla Kościoła i narodu.

Kościół jednak nie boi się ciosów. Może on czasem, w trosce o wiernych, dążyć do odsunięcia chwili prześladowania, ale lepsze jest dla niego prześladowanie niż pozorny kompromis na warunkach narzuconych przez wroga, dający temu wrogowi czas na rozkruszenie słabszych jednostek. Prześladowanie zespala najwartościowszych dokoła hierarchii duchownej, ustala jasny podział na grupę odstępców i na masę wiernych. Jakkolwiek ciężkie jest ono dla Kościoła i straszne dla tak już doświadczonego narodu, na dłuższą metę mniej jest szkodliwe niż częściowa bodaj kapitulacja.

Naszym obowiązkiem na emigracji jest wskazywać światu, jaki jest istotny sens takich zarządzeń jak pozbawienie samoistnego bytu „Caritasu".

## BEZ NIESPODZIANEK

Schematyczność myślenia i działania komunistów jest rzeczą zbyt dobrze znaną i może dlatego niezbyt często podkreślaną na żywych przykładach. Przykładów zaś takich dostarcza niemal każdego dnia życie w krajach przez komunizm okupowanych. Rosja Sowiecka nie wysila się na pomysłowość tam, gdzie można bez przeszkód stosować szablony. Niekiedy stosowanie sztywnych formułek jest tak dosłowne, że wykonawcy nie rozumieją co one oznaczają.

Mowa jest nie tylko o życiu społecznym. W technice, w wojsku, w życiu gospodarczym — formułka i szablon stanowią dla wykonawcy świętość i niezrozumiałe tabu. Jak się okazało po wkroczeniu wojsk bolszewickich do Polski w roku 1939, stosowanie szablonów było zasadą w wojsku bolszewickim. Nikt się nie przejmował, że wykonawcy, nawet oficerowie nie rozumieją co one znaczą, a w wypadku wątpliwym stoją zupełnie bezradni. Tak np. w Wilnie, podczas wojny sowiecko-fińskiej wojskowe władze rosyjskie odkomenderowały część nauczycieli matematyki dla dokształcania sowieckich oficerów artylerii. Chodziło o element zawodowy, przygotowywany przez sowieckie szkoły wojskowe. Okazało się, że ci oficerowie nie znają matematyki i nie umieją wytłumaczyć znaczenia szablonów, podstawowych w strzelaniu artyleryjskim. Lotnicy z ostatniej wojny twierdzą, że lotnictwo sowieckie nie umiało latać na przyrządy, latało zaś „na oko". Toteż można było zauważyć w pierwszym stadium wojny sowiecko-niemieckiej, w roku 1941 niesłychaną przewagę lotnictwa niemieckiego, nie tylko w maszynach, lecz i w wyszkoleniu. Walki powietrzne myśliwców niemieckich i sowieckich w roku 1941 były zabawą kota z myszką, kończącą się dla lotników sowieckich niezmiennym zestrzałem w pierwszej lub drugiej minucie walki. Nie znaczy to oczywiście, by Rosja Sowiecka i w tych dziedzinach nie zrobiła postępów. Zrobiła je na pewno. Nawyk stosowania szablonów pozostał jednak i jest dalej regułą między innymi w życiu politycznym.

„Razrabotka" okupowanych obszarów Środkowej Europy jest powtórzeniem, z pewnymi poprawkami, metod ułożonych prawdopodobnie przed wojną, przy pomocy elementu zdradzieckiego z podbijanych później narodów. Okupacja polskich ziem wschodnich w latach 1939-1941, oraz krajów bałtyckich dostarczyła wzorów, które są stosowane z nieznacznymi odchyleniami na terenie dzisiejszych okupacji. Jedyną zasadniczą zmianą jest frazeologia suwerenności, przy czym i w tej dziedzinie Rosja staje się coraz bardziej bezceremonialna, postawiwszy tezę, że mocarstwa zachodnie wojny o Europę Środkową nie zrobią. Nawet — jeżeli chodzi o przykład polski — część ludzi pozostała na swych odcinkach. Wileńscy komuniści, w rodzaju Jędrychowskiego, Sztachelskiego, Putramenta, sióstr Dziewickich etc., organizujący dziesięć lat temu „demokrację ludową" sowieckiej republiki litewskiej, białoruskiej czy ukraińskiej, dziś z tym samym zapałem organizują taką samą demokrację w republice polskiej. Umysłowa beznadziejność tej roboty nie przeszkadza owym szczególnego rodzaju intelektualistom, nie nudzi ich bo komunizm nęci owych psychicznych wykolejeńców pozycją warstwy przodującej — najpierw w skali krajowej, a potem, jeszcze za ich życia — w światowej.

Przykład szablonu politycznego widoczny jest także na odcinku tzw. „wojska polskiego", dowodzonego ostatnio przez sowieckiego generała. Zanim do tego doszło — przeszło kilka lat frazeologii polskiego patriotyzmu na terenie słabo uzbrojonych for-

macji, nazywanych wojskiem polskim. Formacje te są do tego stopnia nieuzbrojone, że nawet dla wykonania programu niekończących się defilad i świąt państwowych, pułki np. artylerii wypożyczają sobie nawzajem sprzęt, dla wzbudzenia odpowiedniego efektu. Pozostały jednak, podobnie jak w pułkach i batalionach łotewskich czy estońskich w r. 1940-41, mundury, odznaki i dotychczasowe godło państwowe. Należy przypuszczać, że na odcinku wojskowym, po mianowaniu Rokossowskiego, dalszy przebieg wypadków będzie następną częścią szablonu sprzed lat dziesięciu. Pewnego dnia zaczną dyskretnie znikać wyżsi oficerowie narodowości polskiej, wywodzący się z przedwojennego wojska polskiego. Wiadomo — niestety — że dotychczas garść takich osobników w pełni używa blasku szlif generalskich, a nawet dla uspokojenia własnego sumienia nosi czasem na czapkach orła z koroną. Wyjadą pewnego dnia, tak, jak wyjechali litewscy czy łotewscy generałowie i pułkownicy i... dotychczas nie wrócili. Potem może nastąpić parcelacja poszczególnych pułków dla celów „szkolenia" w większych formacjach sowieckich, w dywizjach czy nawet w korpusach. Potem bataliony dla zadań „specjalnych" zostaną oderwane od pułków itd. W międzyczasie, któregoś dnia, sejm bolszewicki w Warszawie wyda ustawę, znoszącą w wojsku polskim dotychczasowe godło i wprowadzającą gwiazdę. Może to się wydarzyć nawet w formie skromniejszej — po prostu każda jednostka wojskowa otrzyma któregoś rana papierek z rozkazem od „naczelnego dowódcy". Tak właśnie było na terenie krajów bałtyckich, gdzie na przestrzeni roku „wyrobiono" całkowitą normę sowietyzacji, co w obecnych warunkach demokracji ludowej, suwerenności i pokoju światowego, zająć musi lat kilka. Rosja bowiem zdaje sobie doskonale sprawę, że przeciąganie struny na terytorium narodów zza żelaznej kurtyny jest praktycznie nieograniczone. Czas jedynie jest katalizatorem ewentualnych wybuchów czy choćby demonstracyjnych gestów ze strony Zachodu. Pocóż więc marnować energię komunistycznych sztabów politycznych na wymyślanie nowych metod sowietyzacji, kiedy stare „grają" jak należy. Przed komunizmem otworzyły się dalsze perspektywy, o jakich nie marzył jeszcze dziesięć lat temu, a raczej marzył bardzo skrycie. Dziś staje Rosja do gry o kontynenty. Jak dotychczas karta jej idzie i w dodatku partnerzy nie grzeszą ani odwagą, ani talentem.

W Europie Środkowej i Wschodniej obejdzie się bez niespodzianek. Sowietyzacja narodów będzie postępować według starych szablonów z małymi poprawkami w czasie. Chyba, że partnerzy od wielkiej gry przekonają się, że sprawa jest poważna i toczy się o stawkę — ostatnią.

## DEKLARACJA KONGRESU POLONII

Rola jaka przypada Kongresowi Polonii amerykańskiej w walce o odbudowanie niezależnego państwa polskiego jest ze wszech miar ważna, a w związku z wzrastającym zainteresowaniem polityki amerykańskiej sprawami Europy skoordynowana akcja naszych rodaków w Ameryce i kierowniczych kół polskich na uchodźstwie jest warunkiem powodzenia naszych poczynań na terenie Stanów Zjednoczonych.

Deklaracja ogłoszona przez Komitet Polityczny Kongresu dnia 13 stycznia w związku z powołaniem do życia w Londynie Rady Politycznej niedwuznacznie określa stanowisko Polonii. Zastrzegając się, iż nie wypowiada się za żadnym z ugrupowań politycznych, Kongres wita z zadowoleniem porozumienie stronnictw polskich na zasadach deklaracji z dnia 4 grudnia 1949 r., przyjmującej jako podstawę ciągłość prawną państwa polskiego. Jednocześnie Kongres wyraża nadzieję, iż utworzenie Rady Politycznej jest początkiem zgodnej współpracy wszystkich stronnictw polskich dla dobra sprawy polskiej. Albowiem — jak dalej głosi deklaracja Kongresu — „w tym krytycznym momencie dziejowym konsolidowanie sił i uzgadnianie metod działania jest nakazem sumienia i serca, a na naganę zasługują ci, którzy jedność i współpracę taką hamują lub jej szkodzą". Mówiąc o ciągłości prawnej państwa polskiego Kongres Polonii jeszcze raz potwierdza, iż stoi na stanowisku legalizmu, „w którym nie osoby, ale zasada jest ważna".

Na najbliższym zebraniu, zwołanym na 31 stycznia, Rada Polityczna ma powołać specjalną uchwałą swoje przedstawicielstwo na terenie Stanów Zjednoczonych. Utworzenie tej reprezentacji, której brak dawał się odczuwać w Stanach od dłuższego czasu, będzie ważnym posunięciem na drodze do uporządkowania, uzgodnienia i wzmocnienia polskiego działania politycznego w Ameryce.

## JĄTRZENIE

Zanotowaliśmy niedawno sprzeczność, jaka zachodzi między obecnymi, niegrzeszącymi umiarem wypowiedziami p. Cata-Mackiewicza we „Lwowie i Wilnie", a jego niedawnymi jeszcze wezwaniami do oparcia rządów o porozumienie Stronnictwa Narodowego i PPS. Ta osobliwa „volte-face" znalazła wyraz w nowym, jeszcze mniej zrównoważonym artykule, w którym p. Cat dopuszcza się nadto szeregu wcale poważnych nieścisłości. Wprawdzie minęły już czasy, kiedy czytelnicy poważnie brali jego informacje, niemniej trzeba przestrzec przed paru najbardziej rażącymi.

Złośliwym nonsensem jest najpierw twierdzenie, jakoby Stronnictwo Narodowe komukolwiek „obiecywało ponowne przelanie krwi polskiej". Żaden z memoriałów, opracowanych przez Stronnictwo, lub podpisanych przez jego przedstawicieli, niczego takiego nie obiecywał, — a każdy, kto choć trochę zna sposób myślenia i poglądy przywódców SN, wie jak dalece byliby takim zamysłom przeciwni.

Wbrew temu, co pisze p. Mackiewicz, a zgodnie z naszymi poprzednimi stwierdzeniami, Stronnictwo Narodowe zostało na wiosnę 1947 r. zaskoczone sposobem zmiany na stanowisku następcy Prezydenta, dokonanej w ostatnich dniach życia śp. W. Raczkiewicza, i zgodziło się na objęcie urzędu przez p. A. Zaleskiego głównie dlatego, że chciało zapobiec nieuniknionemu chaosowi, jaki spowodowałoby równoczesne ogłoszenie dwóch prezydentów. Na decyzję Stronnictwa wpłynęło także zobowiązanie p. Zaleskiego, że ustąpi, o ile w ciągu następnych trzech tygodni stronnictwa wysuną uzgodnionego kandydata na Prezydenta.

Pomijamy szereg pomniejszych nieścisłości w rodzaju twierdzenia, jakoby „Polak", ukazujący się w Niemczech, był organem Stronnictwa Narodowego. Pozostaje dziwnie jątrzący ton artykułu p. Mackiewicza, robiący wrażenie, jakoby wcale mu nie zależało na zażegnaniu obecnego rozłamu wśród polskiej emigracji politycznej. Zamiast cieszyć się z poważnego kroku w kierunku jednoczenia sił polskich, jakim jest powstanie Rady Politycznej, p. Mackiewicz zdaje się robić wszystko, by uniemożliwić dalszą konsolidację. Trudno doprawdy zrozumieć, komu w ten sposób pragnie przynieść pożytek. Z pewnością nie zyska na tym legalizm, monopolizowany obecnie przez zachłanną koterię.

## NIEULECZALNI

Minęło zaledwie pięć i pół lat od katastrofy Niemiec. Rzesza znajduje się wciąż pod okupacją obcą, podzielona jest formalnie na dwa państwa: wschodnią Republikę Demokratyczną i zachodnią Republikę Federalną. Ledwie jednak na zachodzie kraju pozwolono Niemcom przemawiać, wybierać i uchwalać, postarali się zaraz o rozwianie wszelkich złudzeń co do zmiany charakteru narodowego i roli swego narodu w świecie.

W ostatnich tygodniach kanclerz Adenauer zaprotestował przeciw wydzierżawieniu przez Francuzów kopalń Saary na pięćdziesiąt lat i zakwestionował decyzję mocarstw odłączającą ten kraik od Rzeszy, która to decyzja była warunkiem wstępnym zgody Francji na powstanie Republiki Federalnej Niemieckiej. Doszło do gorszącego konfliktu w czasie pobytu francuskiego ministra spraw zagranicznych, Roberta Schumana w Niemczech. Równocześnie niemal wicekanclerz związkowy w publicznym

---

ś.†p.

**LECH HAYDUKIEWICZ**

**Prezes Młodzieży Wszechpolskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, kierownik organizacyjny SN na Małopolskę w czasie okupacji niemieckiej**

Urodzony 10 stycznia 1915 r. w Orłowej, zmarł 3 grudnia 1949 r. we Wrocławiu

**STRONNICTWO NARODOWE**

przemówieniu oświadczył, że Niemcy nie są odpowiedzialne za wywołanie żadnej wojny światowej i że dojście do władzy Hitlera było wynikiem traktatu wersalskiego. Nawet prasa angielska, tak na ogół przychylna „nowym" Niemcom, oburzyła się.

Dla nas może i lepiej, że świat widzi do czego prowadzi popuszczanie cugli „narodowi panów". Zaczyna się od kwestionowania, w pierwszej mowie kanclerza, granicy na Odrze i Nisie, potem przychodzi Saara i odpowiedzialność za wojny, dalej będzie Alzacja a może i Antwerpia i wreszcie przyjdzie nowy Wilhelm czy Hitler... z winy mocarstw zachodnich. Wzór znany aż za dobrze. Ale jeżeli Niemcy są ślepi i głusi na naukę historii, to należy mieć nadzieję, że nie będą równie ślepi Anglicy i Amerykanie.

## BOMBA WODOROWA

Bywają chwile, kiedy człowiek piszący zastanawia się przez moment nad tym, czy właściwie w ogóle warto pisać o sprawach publicznych, bądź w ogóle o sprawach doczesnych. Taką chwilą na przykład było ogłoszenie o H-Bomb. bombie wodorowej, wobec której A-Bomb, czyli bomba atomowa, która unicestwiła sto tysięcy Japończyków w ciągu sekundy, jest dziecinną zabawką. Gdy użyto po raz pierwszy bomby atomowej, wiele się mówiło o niebezpieczeństwie wywołania „łańcuchowych" reakcji, mogących mieć skutki całkiem nie do opanowania przez człowieka. Teraz wygląda na to, że zaczynamy sami dążyć do wywołania podobnych zjawisk.

W naszym zakłamanym świecie trudno rozróżnić, co jest prawdą a co propagandą, a słowo drukowane często jest dowodem, nie że coś tak jest, jak piszą, ale że jest inaczej niż piszą. Dlatego nie wiemy naprawdę, ani czy Ameryka ma bombę wodorową ani czy jej naprawdę jeszcze nie produkuje ani co ma Rosja i co produkuje. Faktem jest, że ostatnia okazja uniknięcia Trzeciej Wojny Światowej minęła bezpowrotnie z chwilą, kiedy Sowiety zaczęły produkować bomby atomowe. Faktem jest dalej, że każdy miesiąc pokoju w tych warunkach pogarsza niepomiernie sytuację. Pogarsza ją nie dla narodów podbitych przez Sowiety ale dla wszystkich. Każdy rok takiego pokoju czyni przyszłą wojnę straszniejszą, zapowiada straty większe, zwiększa możliwości nieobliczalnych katastrof. Któż bowiem może zatrzymać wynalazczość w dwóch obozach przeświadczonych wzajem o sobie, że produkują coraz straszniejsze narzędzia zniszczenia?

Kto wie, czy każdy dzień zimnego pokoju nie okaże się w rezultacie kosztowniejszy od dnia najkosztowniejszej wojny.

A słowa Międzynarodówki mogą się sprawdzić przynajmniej w tym fragmencie, że „boj eto budiet paslednij i reszatielnyj".

## WYBORY BRYTYJSKIE

Kampania wyborcza w Brytanii, która pełne natężenie osiągnie w lutym, już obecnie zarysowała wyraźnie stanowisko współzawodniczących stronnictw. Obie strony zdają sobie sprawę, że najważniejsze zagadnienia są natury nie wewnętrznej ale zewnętrznej, a w pierwszym rzędzie zagadnienie przygotowania do wojny i ułożenia stosunków gospodarczych w bloku amerykańskim świata. Jednakże, zgodnie z wiekową tradycją i doświadczeniem polityki angielskiej, tych spraw nie rzuca się na flukta walki wyborczej i wiadomo jest, że różnice między polityką zewnętrzną socjalistów i konserwatystów nie będą zasadnicze. Przedmiotem walki są więc stosunki wewnętrzne.

I tu cudzoziemskiego obserwatora uderzyć musi ogromna dojrzałość partii angielskich i ich przyzwyczajenie do przyjmowania pozytywnej funkcji w życiu narodu. Socjaliści zapowiadają tylko wykończenie reform rozpoczętych przez upaństwowienie kilku dalszych gałęzi gospodarki, jak stal, cement, asekuracje. Konserwatyści nie zapowiadają zniesienia dokonanych reform ani istniejących kontroli państwowych. Zapowiadają tylko wstrzymanie dalszych wywłaszczeń i pewne rozluźnienie skrępowania inicjatywy prywatnej np. budownictwa czy podatku dochodowego. W ten sposób zaznacza się istniejący od pokoleń podział pracy między dwoma głównymi stronnictwami, z których jedno gra rolę bodźca a drugie hamulca i co jedno zrobi pośpiesznie, to drugie koryguje i gruntuje.

Każdy myślący obywatel brytyjski wie, że w istniejących warunkach politycznych i ekonomicznych w świecie, nie można Anglii wyprowadzić z kryzysu, można tylko usiłować ją przez kryzys przeprowadzić z możliwie najmniejszymi stratami. Zdaje on sobie sprawę także z tego, że socjaliści potrafili zapewnić pełne zatrudnienie i zorganizować opiekę społeczną oraz przystąpili na czas do likwidacji w sposób możliwie najkorzystniejszy imperium brytyjskiego. Pytanie polega na tym, czy posuwać się w tym kierunku dalej, czy też zatrzymać się i skonsolidować na współpracy z Ameryką.

Przeciętny wyborca kieruje się oczywiście mnóstwem motywów, przeważnie ubocznych. Ale tych motywów ubocznych jest tyle, że na ogół, żeby użyć matematycznego porównania, znoszą się wzajemnie. Pozostaje motyw główny, wspólny, choć najmniej głoszony, a zawiera on się w pytaniu co lepiej: push czy pull? Pewną rolę mogą odegrać i względy na osoby, ale nie taką jak w wyborach na kontynencie. W rezultacie więc wyborca angielski odpowie przede wszystkim na pytanie, czy chce dalej naciskać gaz czy hamulec w sprawach wewnętrznych.

Sprawą, jak wyniki wyborów brytyjskich mogą odbić się na położeniu międzynarodowym a w dalszym ciągu pośrednio także więc i na naszym położeniu, zajmiemy się innym razem.

## BUSINESS AS USUAL

Kiedy Birma uznała rząd komunistyczny chiński a Pekin potraktował to wzgardliwie, nie wywołało to w świecie wrażenia. Kiedy jednak Wielka Brytania uznała rząd Mao Tsetunga a ten rząd oświadczył pogardliwie, że o tym może porozmawia później, równocześnie zaś w publicznej proklamacji dał wyraz nieufności do Anglików i powiedział, że poczeka na czyny, bo do słów nie ma zaufania, wrażenie w świecie było nieco większe. Anglicy zachowali wobec tego imponujący spokój. Dla realistów interes jest zawsze ważniejszy od prestiżu. A przy tym, czyż może Biały obrażać się na Kolorowego?

F.A. ARCISZEWSKI

I. HISTORIA

# PRZYCZYNY I SKUTKI „LINII CURZONA"

Na temat „linii Curzona" oraz niezadawnionych praw Polski do granicy ryskiej, napisano w czasie ostatniej wojny kilkadziesiąt różnych broszur, ulotek, memoriałów, a nawet książek, w językach polskim, angielskim i innych. Oświetliły one zagadnienie wyczerpująco ze strony prawnej, historycznej, narodowościowej, gospodarczej itd. i są nadal dostępne. Ponieważ jednak większość czytelników dzisiejszych, zwłaszcza młodszych, pochodzących bądź to z wojska czynnego, z obozów jenieckich, z obozów koncentracyjnych lub spośród deportowanych do pracy niewolniczej w Niemczech lub Rosji, nie mogła śledzić systematycznie wypadków lub czytać ogłoszonych prac, przeto, przed przystąpieniem do wywodów o tym jakie skutki dla całej Europy wynikły z podziału Polski tzw. linią Curzona, powtórzymy w zwięzłym skrócie przebieg historyczny powstania dzisiejszej granicy polsko-rosyjskiej, a w tym skrócie, jako też następnych rozważaniach, doszukiwać się będziemy przyczyn, dla których omawiane decyzje zostały powzięte.

### STANOWISKO MOCARSTW

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej 11 listopada 1919 r. zwycięskie Mocarstwa Główne początkowo nie zajmowały się ustaleniem granicy wschodniej zmartwychwstałego państwa polskiego. We Lwowie trwały jeszcze walki polsko-ukraińskie. Pod wpływem tych walk wahano się w Paryżu między pomysłem podziału tzw. Galicji Wschodniej linią, biegnącą na wschód od Lwowa i Drohobycza (tzw. linia „B"), i stworzenia osobnego małego państwa ukraińskiego, a pomysłem pozostawienia Polsce całej Galicji Wschodniej, z tym że na wschód od linii, biegnącej tuż na zachód od Rawy Ruskiej i Starego Sambora (tzw. linia „A"), ustalona by została pewna autonomia pod nadzorem Ligi Narodów. Lecz w dniu 25 czerwca 1919 r. upoważniła Rada Najwyższa Mocarstw Głównych

rezolucją, podpisaną przez Wilsona, Clemenceau, Lloyd George'a i Orlanda, Polskę do zajęcia całej Galicji Wschodniej aż po Zbrucz. Motywem głównym, podanym w pierwszym zdaniu tej decyzji, była chęć Mocarstw Głównych „zapewnienia bezpieczeństwa ludności Galicji Wschodniej przed bandami bolszewickimi". Obawiano się wówczas, że przez te terytoria mógłby bolszewizm przesiąknąć, przez Karpaty i Węgry, gdzie były już rozruchy komunistyczne, w głąb Europy Środkowej. W tym czasie, tj. czerwcu 1919 r. część Podola, Wołyń, Polesie jako też Mińsk i Wilno były już pod opieką wojsk polskich.

W Traktacie Wersalskim, zawartym w trzy dni po tej decyzji, 28 czerwca 1919 r., granice wschodnie Polski nie były jednak ustalone; art. 87 traktatu zastrzegał natomiast Mocarstwom Głównym prawo ustalenia tych granic w przyszłości. Otóż 21 listopada 1919 r. postanowiono, już pod nieobecność Wilsona, a głównie pod wpływem brytyjskim, że zachodnia część Galicji aż po Przemyśl włącznie, ma być definitywnie włączona do Polski, wschodnia zaś część ma być jej oddana tylko w formie mandatu Ligi Narodów na przeciąg 25 lat, po których miałaby nastąpić decyzja ostateczna. Rezolucja ta spotkała się jednak z natychmiastowym tak silnym sprzeciwem nie tylko Polski ale i Francji, że została już w miesiąc później (22 grudnia 1919 r.) anulowana. Pozostała zatem w mocy decyzja Wilsona, Clemenceau, Lloyd George'a, Orlanda, o której była mowa poprzednio.

Taka była kolejność uchwał dotyczących b. zaboru austriackiego. Co się zaś tyczy terytoriów b. zaboru rosyjskiego, to Rada Najwyższa postanowiła 8 grudnia 1919 r. uznać prawo rządu polskiego do ustalenia normalnej administracji na terenach na zachód od linii, biegnącej od punktu, w którym dawna granica rosyjsko-austriacka spotyka się z rzeką Bugiem, ku północy wzdłuż tej rzeki aż do Brześcia, a stamtąd prostą linią do Grodna (z pozostawieniem miast Brześcia i Grodna poza granicą), stamtąd zaś wzdłuż rzeki Niemna do granicy Prus Wschodnich, z tym jednak, że ewentualne prawa, których Polska chciałaby się domagać do terytoriów położonych na wschód od tej linii, pozostają jej wyraźnie zastrzeżone. Zupełnie niezwykła ta decyzja, w czasie, kiedy opieka wojsk polskich przed bolszewikami sięgała ziem, położonych o 250 km na wschód od tej linii, pobrana była zdaje się głównie pod wpływem licznych misji carskich Rosjan, będących w Paryżu, którzy, wzmocnieni prestiżowo chwilowymi powodzeniami wojsk gen. gen. Denikina, Kołczaka, Judenicza, nalegali stanowczo na „jedność i niepodzielność Rosji". Rosyjski Komitet Polityczny w osobach Sazonowa, ks. Lwowa, Czajkowskiego i Makłakowa, przedstawiał w tej sprawie liczne memoriały, domagając się, by nic nie było zadecydowane bez zgody Rosji. Gen. Denikin posunął się nawet tak daleko, że w memoriale swoim żądał także Małopolski Wschodniej oraz Rusi Zakarpackiej dla przyszłej Rosji. Te ostatnie żądania spotkały się jednak z oporem zasadniczym ze strony Włochów, którzy uznali, że wysunięcie się Rosji poza Karpaty groziłoby przyszłemu pokojowi.[1]

Deklaracja z 8 grudnia 1919 r. jest pierwszym określeniem pewnej linii, która miała być w przyszłości pierwowzorem tzw. linii Curzona, potem linii Mołotow-Ribbentrop, następnie znów „linii Curzona" i dzisiejszej, nieuznawanej zresztą przez naród polski, granicy polsko-rosyjskiej. Należy wobec tego już teraz wyraźnie podkreślić, że w uzupełnieniu tego postanowienia znajdujemy stanowcze zastrzeżenie, iż nie jest to projekt granicy polsko-rosyjskiej, lecz tylko ustalenie linii, po którą przyznaje się Polsce prawa natychmiastowe, a poza którą (tj. na wschód) jej dalsze prawa są zastrzeżone. Zastrzeżenie to oznacza, że prawa Polski do terytoriów na wschód od tej linii wyraźnie istnieją, i że się ich tylko chwilowo nie wytycza na mapie. Ponieważ Rada Najwyższa Mocarstw Głównych z pewnością nie miała zamiaru spowodowania swoją decyzją, by Polska natychmiast wycofała swoje wojska znad Dźwiny, Berezyny i spod Mozyrza do linii Bugu i oddała te terytoria bolszewikom, tak samo jak poprzednio nie miała podobnego zamiaru w Małopolsce Wschodniej, więc deklaracja z dnia 8 grudnia 1919 r. była decyzją wybitnie kanapową, urzędniczą, w danej chwili nikomu niepotrzebną, pobraną w dalekim Paryżu przez ludzi nie znających nastroju milionów miejscowej ludności. A przecież linia, wymieniona w tej deklaracji, miała mieć w przyszłości tak wielkie i tak fatalne znaczenie nie tylko dla Polski ale też dla całej Europy zachodniej. Na niej bowiem wytyczona została w przyszłości nowa zachodnia granica Sowietów.

### WOJNA I POKÓJ

Należy podkreślić, że pod tą fatalną deklaracją nie figuruje podpis Stanów Zjednoczonych. Była ona podpisana tylko przez p. Clemenceau. Już w dwa tygodnie później jednak, po poważnych niepowodzeniach wojsk Denikina, Kołczaka i Judenicza, tenże sędziwy Clemenceau w swej mowie z 23 grudnia 1919 r. wspominał o zasługach Polski w odgrodzeniu Europy „drutem kolczastym" od agresji bolszewickiej. Wówczas Mocarstwa Główne nie podnosiły już głosu w sprawie dalszej tymczasowej administracji Ziem Wschodnich i całej Galicji Wschodniej przez Polskę. Pokładano nawet wielkie nadzieje w skuteczność działania wojsk polskich przeciwko bolszewikom i wyrażano opinię, że Polska nie powinna zawierać pokoju z bolszewikami zanim interwencja aliancka na rzecz gen. Wrangla i innych oddziałów biało-rosyjskich nie odniesie skutków.[2] Ten pogląd dotarł do marsz. Piłsudskiego, w drodze przez dyplomację brytyjską i francuską i miał prawdopodobnie wpływ na jego dalsze decyzje. Dotarł on również do rządu sowieckiego, co spowodowało wysłanie do Polski słynnej deklaracji z dnia 29 stycznia 1920 r., o której zaraz będzie mowa.

Właściwie biorąc, do tego czasu nie było faktycznej wojny między Polską a Rosją Sowiecką. Była raczej wojna domowa w Rosji, rewolucja, w której walczyli wszyscy z wszystkimi, a od której Polska odgrodziła się kordonem swych wojsk na linii Dźwińsk, Mińsk, Starokonstantynów. Ponieważ nie istniała formalna granica międzypaństwowa dochodziło oczywiście w obszarze tej linii do starć i potyczek między oddziałami polskimi a bolszewikami, ale nie było regularnych operacji wojennych, z manewrami korpusów itp. Bolszewicy zaczęli dopiero pod koniec 1919 r. gromadzić w rejonie Borysowa większe ilości regularnie zorganizowanych wojsk w celach zaczepnych.

W tym stanie rzeczy nadesłał rząd sowiecki rządowi polskiemu wspomnianą deklarację z dnia 29 stycznia 1920 r., podpisaną przez Lenina, Trockiego i Cziczerina, w której Sowiety oświadczały, że wojska czerwone nie przekroczą frontu w danej chwili zajmowanego, tj. linii Drysa, Dzisna Połock, Borysów, stacja kolejowa Ptycz, Białokorowicze, Cudnów, Piława, Deraźnia, Bar. Zdaniem polskim była to propozycja zawieszenia broni, celem unieruchomienia polskiej grupy antybolszewickiej do czasu zniszczenia innej grupy antybolszewickiej, popieranej przez Francję i Anglię, aby potem wrócić do tej pierwszej. Znany był Polakom list Trockiego do komunistów francuskich Loriota, Rosmera, Pericata, z dnia 1 września 1919 r., w którym wyrażał się on, że zaraz po wykończeniu Denikina zatakuje się Polskę. Mimo pełnej świadomości tej fałszywej gry sejm polski wyraził zgodę na natychmiastowe rozpoczęcie pertraktacji granicznych i marsz. Piłsudski zaproponował... Borysów na miejsce spotkania się obu delegacji pokojowych. I tu wylazło szydło z worka. Bolszewicy odmówili tego właśnie miejsca spotkania. Od tego momentu, gdy zamiary agresywne sowieckie były jasne, a prócz tego z meldunków polskiego wywiadu wiadome było, że bolszewicy gromadzą coraz większe siły przeciw Polsce[3]) wtedy dopiero rozpoczęły się ze strony polskiej przygotowania do większych operacji wojennych.

Niemniej jednak sam fakt zaproponowania Polsce przez bolszewików linii, położonej o 300 km na wschód od tej, jaką podały jej przed miesiącem Mocarstwa Główne, ma trwałą wymowę.

Wkrótce potem rozpoczęła się prawdziwa wojna polsko-bolszewicka, która, po licznych jak w każdej wojnie, momentach tragicznych przesileń, doprowadziła do ustalenia granicy Traktatu Ryskiego.

### DEPESZA LORDA CURZONA

W czasie tej wojny jednak, gdy, w zmiennej losu kolei, bolszewicy mieli

---

[1]) Temperley: „A History of the Peace Conference of Paris", tom VI, str. 270.

[2]) Vide Churchilla „The Aftermath", str. 252-253, oraz „Documents on British Foreign Policy 1919-1939", edited by E. L. Woodward and Rohan Butler, first series, volume III.

[3]) Jak pisze brytyjski gen. Ironside w „Encyclopaedia Britannica", vol. XIX, str. 765, w marcu 1920 r. było już 20 dywizji piechoty i 3 dywizje kawalerii.

przewagę i posuwali się szybko na zachód, a premier polski W. Grabski udał się do Spa, aby prosić mocarstwa zachodnie o omawianą poprzednio pomoc materiałową przeciw bolszewikom, zgromadzeni tam przedstawiciele mocarstw zachodnich zgodzili się, dnia 10 lipca 1920 r. na udzielenie tej pomocy, lecz, na wniosek Lloyd George'a, pod warunkiem natychmiastowej zgody rządu polskiego na zainicjowanie i podpisanie zawieszenia broni na podstawie wycofania wojsk polskich do linii, wyznaczonej w deklaracji Mocarstw Głównych z dnia 8 grudnia 1919 r., z tym że w Galicji Wschodniej wojska staną na tej linii, jaką osiągną w dniu zawieszenia broni. Należy znów podkreślić, że w negocjacjach przed ustaleniem tej propozycji Stany Zjednoczone nie brały udziału; byli tam tylko Lloyd George, Millerand i hr. Sforza.

Premier Grabski ostatecznie wyraził zgodę na tę propozycję i podpisał ją.

Lecz w dzień później, tj. 11 lipca 1920 r. wysłał lord Curzon, minister spraw zagranicznych w rządzie Lloyd George'a, depeszę do p. Leslie, brytyjskiego chargé d'affaires w Rewlu (Tallinie), w celu doręczenia jej Cziczerinowi, o treści zupełnie niezgodnej z tym co dnia poprzedniego było uzgodnione. Dodał mianowicie, że od Kryłowa nad Bugiem linia ma przebiegać na zachód od Rawy Ruskiej i na wschód od Przemyśla aż do Karpat, nadmieniając przy tym, w wyraźnej sprzeczności z tamtą częścią depeszy, że w Galicji Wschodniej wojska mają się zatrzymać na linii zajmowanej w dniu podpisania zawieszenia broni. Linia ta zaś biegła na wschód od Zbrucza, pozostawiała więc całą Galicję Wschodnią po stronie polskiej. Curzon dodał też, że na odcinku północnym Litwini mają trzymać linię od Grodna wzdłuż toru kolejowego przez Wilno do Dźwińska.

Tak oto powstała słynna „linia Curzona". Ale Rosjanie tę prośbę pośrednictwa Curzona brutalnie odrzucili, stwierdzając równocześnie, że są gotowi w bezpośrednich rokowaniach z Polską przyznać jej dużo korzystniejsze granice niż to proponują mocarstwa zachodnie. Jakim więc czołem domagali się Rosjanie 21 lat później tejże właśnie „linii Curzona", pozostanie już tajemnicą logiki sowieckiej, o której mocarstwa zachodnie może dzisiaj mają już inne pojęcia niż niedawno w Jałcie.

Ostatecznie jednak „linia Curzona" nie została w 1920 r. w ogóle wprowadzona w życie. Polska bowiem obroniła się przed wojskami bolszewickimi, obroniła może nawet całą Europę przed zalewem komunizmu już wówczas — i przyczyniła się do przedłużenia trwania cywilizacji chrześcijańskiej w całej Europie o dalszych 19 lat. Zdawało się, że w tych warunkach można by o tzw. linii Curzona zapomnieć.

W Traktacie Ryskim osiągnięto między narodem polskim a rosyjskim dobry kompromis. Że był to kompromis, a nie, jak dziś Sowiety twierdzą, granica Rosji narzucona, o tym świadczy wyraźnie nie tylko depesza Joffego przed rozpoczęciem pertraktacji z 24 września 1920 r.), w której Rosja ponownie zaproponowała Polsce granice „położone znacznie bardziej na wschód aniżeli propozycja Rady Najwyższej Mocarstw Głównych z dnia 8 grudnia 1919 r. oraz całą Galicję Wschodnią", ale także wypowiedź tegoż Joffego po podpisaniu Traktatu Ryskiego z dnia 18 marca 1921 r., a zwłaszcza wzmianka w oficjalnej Wielkiej Encyklopedii Państwowego Instytutu Sowieckiego, wydanej w 1940 r. (!), w której podkreślono, że rząd sowiecki był skłonny przyznać Polsce granicę jeszcze dalej na wschód położoną, ale Polska odrzuciła tę ofertę.

Ta granica ryska została potem dnia 15 marca 1923 r. oficjalnie uznana przez Konferencję Ambasadorów, 5 kwietnia 1923 r. także przez Stany Zjednoczone, więc dawny projekt zawieszenia broni na tzw. linii Curzona został tym samym niewątpliwie definitywnie anulowany.

## LINIA STALINA

Granica ryska przetrwała ku zadowoleniu obydwu stron, aż do drugiej wojny światowej. Dopiero 17 września 1939 r. została ona naruszona przez niczym nie sprowokowany napad wojsk sowieckich, które, w zmowie z hitlerowskimi Niemcami, bez wypowiedzenia wojny, zajęły połowę Polski. W umowie Ribbentrop-Mołotow z dnia 28 września 1939 r. ustalono rozbiór Polski na linii rzek Narew — Wisła — San, z wyraźnym zaznaczeniem, że będzie to granica między państwem niemieckim a rosyjskim. Później została linia ta, na życzenie Rosji cofnięta do rzek Pisa — Narew — Bug — San. Na odcinku rzeki Bug, od Niemirowa do Kryłowa, pokrywała się ta linia rozbioru Polski z dawną „linią Curzona".

Gdy następnie w czerwcu 1941 r. Niemcy zaatakowały Rosję, przekroczyły one polskie Ziemie Wschodnie prawie bez oporu i dopiero poza granicą ryską napotkały na poważniejszy opór.

Potem wojska niemieckie nacierały długo, — aż po Stalingrad.

W czasie tych niepowodzeń sowieckich podpisał rząd sowiecki umowę z gen. Sikorskim, w której anulował umowę, zawartą poprzednio z Ribbentropem, a brytyjski minister spraw zagranicznych Eden wystosował list do gen. Sikorskiego — za wiedzą ambasadora Majskiego — w którym zaznaczył, że rząd brytyjski nie uznaje żadnych zmian terytorialnych, dokonanych w Polsce od sierpnia 1939 r., to znaczy uznaje dalszą ważność granicy Traktatu Ryskiego. Minister spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych Sumner Welles złożył też oświadczenie, w którym powiedział, że ta umowa polsko-rosyjska jest zgodna z polityką Stanów Zjednoczonych o nieuznawaniu żadnych zmian terytorialnych, dokonanych przez (taken by) podbój.[4])

Gdy jednak, zaledwie pięć miesięcy później, Eden był w Moskwie, zażądał Stalin nagle zobowiązania się Edena do natychmiastowego podpisania umowy brytyjsko-rosyjskiej, w której Wielka Brytania uznałaby zachodnie granice Rosji „takie jakie istniały przed napadem niemieckim na Rosję", — tj. ni mniej ni więcej jak potwierdzenia przez Wielką Brytanię zaboru terytorialnego, dokonanego przez Rosję w zmowie z wrogiem Wielkiej Brytanii na aliancie polskim. Zaskoczony Eden umowy takiej nie podpisał, ale zaoferował poradzenie się w tej sprawie swojego rządu i dominiów.[5])

Następnie, gdy w ciągu wielu miesięcy lat 1942 i 1943 Rosja, dzięki olbrzymiej pomocy materialnej Stanów Zjednoczonych, udzielonej jej bezpłatnie w formie pożyczki (Lend and Lease), wzmocniła swe siły tak dalece, że mogła przejść do przeciwnatarcia, pobić Niemców pod Stalingradem i pędzić ich z powrotem na zachód, — Stalin powrócił znów do tematu granicznego w Teheranie (grudzień 1943 r.) i w Jałcie (luty 1945 r.) w rokowaniach z Rooseveltem i Churchillem. Tym razem, zdaje się, już w formie szantażu. Przypomniał sobie też wówczas, że granica rosyjska „sprzed napadu niemieckiego", o której mówił z Edenem, jest bardzo podobna do ś.p. „linii Curzona" z 1920 r. i zdołał wmówić w swoich rozmówców, że to przecież Brytyjczycy, a nie Rosjanie uznali, iż wschodnią granicą Polski powinien być Bug. I ten chwyt mu się udał. W umowie jałtańskiej z dnia 12 lutego 1945 r. Churchill i Roosevelt przyznali Stalinowi linię graniczną, która z wyjątkiem połowy województwa białostockiego i małych zmian w okolicy Przemyśla, jest dokładnie tym, co Stalin uzyskał na podstawie zmowy z Niemcami.

W ten sposób dwu aliantów Polski, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, dało się użyć do współudziału w niesłychanej amputacji żywego ciała Polski, bez zgody i wbrew donośnym protestom operowanego, nie domyślając się nawet, jaką dalszym celom rosyjskim oddają niebywałą przysługę.

Powody dokonania tego, bez precedensu historycznego pozostającego, gwałtu na narodzie sprzymierzonym, podawane były potem stopniowo, czasem nawet ze wstydem, ale nigdy nie przekonywająco.

Stalin np. podawał konieczność uwolnienia narodów ukraińskiego i białoruskiego, — a wiadomo że tuż po ich „uwolnieniu" wywoził Ukraińców i Białorusinów masowo na Syberię, na zagładę w obozach pracy niewolniczej, a nawet do dziś dnia nadal ich wywozi.

Churchill szermował argumentami rekompensaty na Zachodzie i porównywał nieużytki bagien poleskich z korzyściami dłuższego wybrzeża morskiego nad Bałtykiem. W Małopolsce Wschodniej natomiast zapłątał się Churchill zupełnie. Zapytany bowiem w Parlamencie o to, czy decyzja jałtańska dotyczy tzw. linii „A" czy też linii „B", stwierdził, że linii „A". Tymczasem, jak wiadomo, rezolucja Mocarstw Głównych z dnia 21 listopada 1919 r., dotycząca linii „A", została dnia 22 grudnia 1919 r. anulowana, a oprócz tego oznaczała ona w ogóle granicę zachodnią obszaru, sięgającego aż po Zbrucz, który miał być Polsce oddany, aby zapobiec pe-

[4]) „New York Times", z 1.8.1941.

[5]) Eden, „Daily Telegraph" z 6.10. 1949.

netracji komunistycznej. Więc powoływanie się na linię „A" w chwili oddawania Małopolski Wschodniej komunistom, jest jakby zaplątaniem się świadka w zeznaniach przed sądem historii.

Reżym komunistyczny w Polsce motywuje wkroczenie wojsk sowieckich do Polski 17 września 1939 r. i zajęcie połowy kraju, genialnością wielkiego stratega Stalina, który mianowicie przewidywał już wówczas napaść hitlerowską i wysunął wojska sowieckie na zachód, aby zyskać na głębokości manewru obronnego. W konsekwencji tego wspaniałego pociągnięcia strategicznego Niemcy jakoby w walce z Rosją zużyły więcej czasu i sił, co ostatecznie przyczyniło się do ich klęski i tzw. „odzyskania niepodległości" przez Polskę. Niestety w rozumowaniu tym nie tłumaczą nam bierutowcy dlaczego Rosjanie, mając ofertę niemiecką aż po Wisłę, woleli pozostać nad Bugiem. Mieliby przecież jeszcze więcej terenu manewrowego i mogliby jeszcze prędzej pobić Niemców. Nie tłumaczą też dlaczego Rosjanie do dziś dnia siedzą nad Bugiem, pomimo dawnego już i gruntownego pobicia Niemiec, ba, nawet coraz bardziej przyjacielskich stosunków Rosji z połową Niemiec. Nie tłumaczą też bierutowcy, dlaczego Rosja już w 1939 r. wcieliła definitywnie i konstytucyjnie obszary zajęte w Polsce do republik ukraińskiej i białoruskiej, oraz dlaczego deportowała półtora miliona ludności z tych obszarów do robót niewolniczych na Syberii i dlaczego w dalszym ciągu ich deportuje. Doznawszy tak wielkich dobrodziejstw ze strony genialnego Stalina, wypiera się jednak reżym bierutowski w niewdzięczny sposób jego wspaniałomyślności. W bardzo krótkiej bowiem umowie granicznej polsko-rosyjskiej z dnia 16 sierpnia 1945 r. podaje on aż trzy razy nazwisko lorda Curzona jako sprawcy nowej granicy wschodniej Polski. Przypuszczalnie pragnie on w ten sposób skierować nienawiść narodu polskiego, za straszliwe okaleczenie Polski przeciwko Wielkiej Brytanii.

Więc wszystkie argumenty satelitów sowieckich, a także Churchilla i Stalina, są nieprzekonywające, — są nawet bardzo słabe.

Chcąc więc w tej plątaninie wykrętów, argumentów i chwytów dyplomatycznych dojść do wniosku dlaczego Sowiety, w tak uporczywy sposób, raz w zmowie z Niemcami, potem w umowie z naszymi aliantami, a zawsze poza plecami Polski, domagały się odsunięcia granicy polskiej aż do linii górnego Sanu i Bugu, — trzeba szukać argumentów innych aniżeli te, jakimi posługiwał się Stalin w rokowaniach. Trzeba spojrzeć na wyniki polityki sowieckiej; na całość obecnej granicy zachodniej Rosji w Europie i z tego faktu wnioskować wstecz. Trzeba spojrzeć na tzw. linię Curzona z innego punktu widzenia — tak aby prócz niej widzieć też... Ruś Zakarpacką.

Odepchnięcie granicy polskiej od Zbrucza po górny San potrzebne było Sowietom ze względu na dużo większe, nieujawnione w rokowaniach cele niezmiennego rosyjskiego imperializmu, spotęgowanego jeszcze celami międzynarodowego komunizmu.

(Dokończenie nastąpi)

**WŁADYSŁAW FOLKIERSKI**

# CHOPIN O NORWIDZIE

ZAJMOWALIŚMY się niedawno na łamach „Myśli Polskiej" listami Chopina, z okazji jego roku jubileuszowego. W ciągu tego roku wypłynęły w kraju nowe jego listy, a raczej fragmenty listów do Delfiny Potockiej. Są to fragmenty nad wyraz ciekawe, tak ciekawe, że aż niektórzy wątpią w ich autentyczność.

Rzecz w tym, że wydane one zostały w postaci niezmiernie niekrytycznej. Wyciągnięte z archiwum rodziny Potockich, zostały podane do druku w ułamkach. Są to złe skutki gospodarowania prywatnego dokumentami interesującymi ogół. Trudno odmówić rodzinnym archiwom prawa istnienia, ale już jeżeli coś ma ujrzeć światło dzienne, powinno to być przygotowane z minimum starania. Wystarczy powiedzieć, że rzeczone urywki nie są nawet datowane! Profesor Zdzisław Jachimecki włączył je mimo wszystko do swego wydania listów Chopina w „Bibliotece Narodowej", która wychodzi obecnie we Wrocławiu nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, przewiezionego tam szczątkowo ze Lwowa. Prof. Jachimecki zastrzega się, że dopiero fotokopia autografu rozstrzygnie o poniektórych wątpliwościach. Analiza wewnętrzna tekstu świadczy raczej o jego autentyczności, w zestawieniu z tonem i stylem reszty korespondencji.

Dodajmy i to, że kilkadziesiąt już lat temu takie same niepewności i wątpliwości przywitały były pierwsze wzmianki o dzienniczku stuttgarckim Chopina, tym dzienniczku, w którym po upadku Warszawy we wrześniu 1831 roku notował swe pamiętne słowa tak przypominające p ó ź n i e j s z ą Improwizację Mickiewicza. Dopiero udostępniony wszystkim autograf znajdujący się w zbiorach warszawskich zdołał ten pierwotny sceptycyzm rozwiać. Sądzimy, że i tym razem tak się stanie — o ile te autografy ocalały. Ileż niebezpieczeństw zawisło w Polsce nad tymi bezcennymi archiwami rodzinnymi w naszym „demokratycznym" i „postępowym" wieku XX!

Wśród znajdujących się w Wyborze Jachimeckiego (Bibl. Nar., Seria I. Nr 131) fragmentów figurują również ustępy odnoszące się do Cypriana Norwida. Są one uderzająco ciekawe, bo odzwierciedlają całą ewolucję uczuć w stosunku Chopina do niego.

Pierwszy odruch — musiało to być przed przyjazdem Norwida z Włoch do Paryża, skoro mowa o p i s a n i u do niego, i skoro się Chopin zastanawia czy słowo mówione Norwida odpowiada jego stylowi — był raczej niechętny. Chopin nienawidził wszelkiego teoretyzowania, filozofowania, wszelkiego łamania się z niejasnością wyrazu czy doszukiwania się ukrytej głęboko treści. „Na pewno łatwiej było tańczyć niedźwiedziom Radziwiłła, jak mnie do Norwida pisywać. Sam piszę, jak wiesz, prosto z mostu i jego proszę, aby mi, o co mu chodzi, łopatą do łba wkładał. Ale to urodzony myśliciel, co wszystko tak w sosie filozofii topi, że ani pojął o co chodzi. Tak rzecz najzwyklejszą zaplącze, że mózg ci o łba ściany, jak ptak w klatce się tłucze, a wszystko na nic, bo zrozumienie za trudne. Niech ręka Boska broni, jeżeli on tak mówi, jak pisze, bo i któż się z nim o co dogadać zdoła? To już trzeci filozof, co się w naszych czasach w polskim Narodzie objawił, cieszę się tym zamiast się turbować, że nie z moją mózgownicą filozofów rozumieć."

Już to filozofów bardzo snać Chopin nie lubił. Jakąż to ich t r ó j k ę ma na myśli? Cieszkowskiego zapewne i Trentowskiego? może mistrza Andrzeja? może Krasińskiego?

Z Norwidem miało się jednak powtórzyć to co Chopinowi przydarzyło się z Egeniuszem Delacroix: oto Chopin wprawdzie nic się nie rozumiał ani na malarstwie ani na filozofii, ale oni za to entuzjazmowali się obaj muzyką, i doskonale wyczuli — obaj i Delacroix i Norwid — genialność Chopinowskiej muzyki... Stąd też i nieunikniona ewolucja uczuciowa nachylająca Chopina ku Norwidowi.

... Wpadł kiedyś oto do Chopina — Chopin w swoim salonie przyjmował l e t o u t P a r i s — markiz de Custine, mecenas i literat, autor książki o Rosji, którą odwiedził w roku 1839.*) „Wczoraj de Custine mię odwiedził. Poczciwy! Jego zaciekawia nasza muzyka narodowa (...) o moich kompozycjach powiedział, że są wcale inne niż dzieła Francuzów, Niemców i Anglików. I mówił, że ode mnie polska muzyka się zaczyna i inne takie wielkie komplimenta. A jam mu na to oponował(...) Dzwonek zabrzęczał — wchodzi Norwid i zaraz pyta, o czym dyskusję prowadzimy."

— Relację Chopinowską czyta się jak powieść. Norwid wchodzi. Co też powie? i jak się zachowa? Jakżeż zobaczymy tu przyszłego autora Fortepianu Chopina?

... „Gdy się dowiedział, zaczął Custinowi w u n i s o n o basować, że jestem pierwszym narodowym twórcą, że ode mnie się muzyka polska rozpoczyna, że dotąd nasza muzyka była jak taniec kulawego, etc. I zaczęli mię tak duetowo chwalić, żem aż uciekł grać do salonu, dokąd i oni zaraz przeszli. To grałem, to gadaliśmy i tak nam najmilej noc zeszła, dopiero nas świt rozpędził."

*) Książka ta, „La Russie en 1839", 1843, w czterech tomach, jest bardzo ciekawa i na długie lata stanowić będzie credo Francuzów na temat Rosji. Książka warta przeczytania.

Nie dziw więc, że się Chopin do Norwida, tego „filozofa urodzonego i myśliciela", przekonał, i to tak dalece, — że aż go nad Mickiewicza wyniósł: „Norwid mię lepiej od Mickiewicza rozumie, bo kiedy Mickiewicz mnie do napisania opery narodowej popychał — Norwid, znając granice moje, nigdy się z czymsiś takim do mnie nie odezwał".

W jednym wypadku tylko rozżalił się trochę Chopin na Norwida z powodu pewnego jego odezwania, pod które może i niesłuszny sens podsunął. Dowodzą te słowa Chopina, które za chwilę zacytujemy, wielkiej jego samowiedzy twórczej. Tak szczerych jego słów w stosunku do siebie samego, w reszcie korespondencji nie znajdujemy. Jest tam zawsze mnóstwo powściągliwości w mówieniu o sobie. Tu inaczej: świadczyłoby to o wielkiej szczerości w stosunku do Delfiny, — albo, na upartego, mogłoby to służyć za argument przeciw autentyczności tekstu — gdyby nie jeden jego szczegół. Posłuchajmy: „Całą moją muzykę przedśpiewem Norwid nazwał w rozmowie. Przyznam Ci się, żem z przykrością tego wysłuchał, nie pokazując po sobie. Wiem, jak bardzo wysoko on o mojej sztuce trzyma, toteż mię to zdziwiło, bo to było tak, jakby on wszystko moje za małe preludium uważał i czekał, aż ktoś inszy przyjdzie i większą muzykę napisze. Czy symfonia ma być tylko dlatego lepsza, że jest wielka? Możem go jednak nie zrozumiał, z jego filozofią nie pójdziesz w tory i może ja za głupi, żeby do fundamentu jego myśli się dokopać..."

Tekst ten jest znów bardzo ciekawy. Ten sam Chopin, który w innym miejscu zaklinał się, że nie uważa się nawet za Jana Chrzciciela muzyki polskiej, tu, wręcz przeciwnie, niechętnie przyjmuje sugestię możliwości, by ktoś „większą muzykę" napisał... ale też i następne zdanie od razu koryguje tę treść: jest on oto stale wyczulony na punkcie bronienia autonomicznej wielkości swoich „małych" form muzycznych. Odmawiał, jak wiemy, Mickiewiczowi i Witwickiemu i Elsnerowi pisania opery narodowej. Czuł się związany z fortepianem i odpierał wszelkie zarzuty minimalizujące sztukę fortepianową jako taką. Stąd słowa: „Czy symfonia ma być tylko dlatego lepsza, że jest wielka?". Wiadomo, jak bardzo Chopin miał tu rację. Liszt powie wręcz, że odwaga ograniczenia się do jednego instrumentu, skupienia się na nim, była wręcz cechą i dowodem genialności Chopina.

Zaś Norwid miał swoje głębokie wyobrażenie o sztuce narodowej i sztuce w ogóle, — i dlatego o „przedśpiewie" wspominał nie tylko Chopina nie minimalizując, ale go wręcz wywyższając! Oto co powie w „Promethidionie", właśnie i dosłownie wyjaśniając nam ten „przedśpiew" tak dla Chopina niejasny i tajemniczy:

„Podnoszenie Ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej Ludzkość całą — podnoszenie ludowego do Ludzkości nie przez stosowanie zewnętrzne i koncesje formalne, ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości... oto jest, co wysłuchać daje się z Muzy Fryderyka, jako zaśpiew na sztukę narodową". Zaśpiew więc, a nie przedśpiew!

Obejmował Norwid tym powiedzeniem całość narodowej sztuki, a nie tylko muzykę:

„W Polsce — od grobu Fryderyka Chopina rozwinie się sztuka, jako powoju wieniec, przez pojęcie nieco sumienniejsze o formie życia, to jest, o kierunku piękna, i o treści życia, to jest, o kierunku dobra i prawdy. Wtedy artyzm się złoży w całość narodowej sztuki".

Nawiasem rzekłszy, skłonny jestem uważać ten ustęp „Promethidiona" jako dowód autentyczności fragmentów listów do Delfiny: ten „zaśpiew" mi uwiarogodnia tamten „przedśpiew"! Gdyby tu i tam było ściśle to samo, można by twierdzić, że ktoś sprytnie list do Delfiny podrobił na podstawie „Promethidiona"! Ale fakt właśnie, że termin nie jest ten sam, świadczy o prawdzie obu, bo pojęcie przez Chopina z rozmowy z Norwidem zapamiętane jest wiernie, a tylko niezupełnie przez Chopina zrozumiane. „Promethidion" pojęcie to podejmuje, tłumaczy i wyjaśnia.

* * *

Okazuje się jeszcze z tych fragmentów, że obaj przyjaciele rozmawiali też i o polityce...

Jakaż mogła być polityka Chopina? Nie trudno zgadnąć: uczuciowa i instynktowa. Oto co notuje dla Delfiny: „Norwid znów był u mnie, kocham go i bardzo szanuję, to jeden z prawdziwych artystów i mój człowiek. Grałem mu i gadaliśmy długo. Między innymi dowodził mi gorąco, że tak jak człowiek to i naród nigdy się nie zmienia, zawsze ma te same wady i zalety. Mówił, że Niemcy — Krzyżacy, tak samo chytrzy, podli i okrutni byli, jak Niemcy dzisiaj. A i my swoich zalet i wad nie stracimy — warcholstwo, brak zgody, prywata, co nas w niewolę strąciły, jeśli się cudem dźwigniemy, gotowe strącić znowu. Słuchałem go, jak ponurego proroka i słuszność mu przyznać musiałem. Pociechy szukałem w naszym polskim: „Lepiej kiedyś będzie"... i jego tym pocieszyć starałem: potem „Jeszcze Polska" zagrałem i popłakaliśmy się obaj".

Niebogata to polityka: w roku 1950 taką samą rozmowę rodacy przeprowadzić by łatwo mogli, nie będąc ani Norwidami ani Chopinami...

Pisarze i artyści wskazania polityczne znaleźć winni znów raczej w „Promethidionie" i to nie byle jakie:

„Narodowy artysta organizuje wyobraźnię jak, na przykład, polityk narodowy organizuje siły stanu".

W takiej polityce narodowej sztuki — Chopin zajmuje miejsce jedno z pierwszych.

...Jakżeż by się głęboko zdziwił Chopin przeczytawszy w swej skromności — on, który tak oganiał się przed komplementami Custine'a i Norwida — wiersze, cudne wiersze, które tenże Norwid miał napisać w r. 1863 w swoim przepysznym „Fortepianie Chopina".

A w tym, coś grał, taka była prostota
Doskonałości Peryklejskiej,
Jakby starożytna która cnota
W dom modrzewiowy wiejski
Wchodząc, rzekła do siebie:
„Odrodziłam się w niebie..."

Byłby chyba pan Fryderyk „uciekł grać do salonu", by zagłuszyć to czego słuchać nie chciał.

# GŁOS MUSI ZABRAĆ OPINIA

Od pewnego czasu do szerszej opinii polskiej dochodzą niepokojące odgłosy z jedynej polskiej uczelni akademickiej na emigracji, tj. Polish University College w Londynie. Uczelnia ta, która w ciągu kilku lat wyrobiła sobie poważną opinię nie tylko wśród Polaków i ma miejsce na 1.200 studentów, posiada duże znaczenie dla całej emigracji a w dalszej perspektywie również dla kraju, gdzie poziom nauczania jest systematycznie obniżany przez narzucanie wykładów politycznych nawet na wydziałach technicznych, przez mianowanie komunistycznych nieuków profesorami i przez zastąpienie doboru na podstawie egzaminu wstępnego na uczelnie techniczne protegą partyjną i kluczem polityczno-klasowym.

Polish University College było stworzone przez Radę Akademickich Szkół Technicznych w pierwszym okresie wojny i składało się z wydziałów: inżynierii, mechanicznego, elektrycznego, chemicznego i architektury (początkowo w Liverpoolu, ostatnio w Londynie). Program tej uczelni oparty był na programach politechnik polskich. Istotną cechą systemu polskiego, który w pełni zdał egzamin w niepodległej Polsce, było połączenie teorii i praktyki w ten sposób, że wykładowcy rekrutowali się zarówno z naukowców jak i doświadczonych inżynierów, że pierwsze dwa lata nauki poświęcone były głównie przedmiotom teoretycznym a ostatnie dwa głównie zawodowym, że student wykonać musiał trzy projekty przejściowe i pro-

jekt dyplomowy oraz odbyć pewne praktyki w ciągu studiów.

W Anglii system nauczania technicznego jest bardzo staroświecki. Całe cztery lata studiów poświęcone są przedmiotom teoretycznym, w szerszym zakresie niż u nas; nie ma projektowania ani praktyk; wykładowcy są wyłącznie naukowcami; student zdaje po roku egzamin tzw. Intermediate, następnie w dwóch częściach egzamin na Bachelor of Science, odpowiadający z grubsza teoretycznej części naszego półdyplomu i dyplomu. Tytuł B. Sc. (Eng.) nie jest żadną kwalifikacją zawodową. Przemysł brytyjski nie przywiązuje do niego takiej wagi, jak przywiązywano u nas do tytułu inżyniera i absolwent wydziału technicznego brytyjskiego zaczyna pracę w swoim zawodzie od samego dołu, od praktyki biurowej czy warsztatowej. Dopiero później zaczyna ubiegać się o przyjęcie do Instytutu Inżynierów odpowiedniego działu i w tym celu zdawać musi specjalne egzaminy.

System ten już oddawna w Anglii jest przedmiotem krytyki. Ostatnio komisja specjalna powołana przez Ministry of Education a złożona z największych powag naukowych brytyjskich, wypowiedziała się za reformą studiów technicznych i wprowadzeniem tytułem eksperymentu nowego typu uczelni, Colleges of Technology, wzorowanego w dużej mierze na politechnikach kontynentalnych, łączącego teorię z przygotowaniem do pracy zawodowej. Rozważany jest także projekt uzupełnienia studiów technicznych przez specjalne dwuletnie studium praktyczne w przemyśle.

W tych warunkach dyplomy Polish University College zdobyły sobie dobrą markę w przemyśle brytyjskim, mimo że nie dawały formalnego tytułu brytyjskiego B. Sc. (Eng.) Zarówno dla pracodawcy jak i dla korporacji zawodowej ważniejsze od dyplomu było przygotowanie zawodowe. Wielu wychowanków P.U.C. otrzymało pracę w przemyśle na podstawie okazanych prac przejściowych czy dyplomowych. Instytucje zawodowe stawiały ich wyżej od swoich B. Sc. (Eng.), czego dowodem, że np. Institution of Electrical Engineers i Institution of Mechanical Engineers przyjmowały absolwentów P.U.C. na członków bez egzaminu wstępnego.

Równocześnie zaś inżynierowie P.U.C. mieli wszelkie widoki, że ich dyplom w przyszłości uznany będzie w kraju za zwykły dyplom politechniczny.

W ramach tej szerokiej pomocy naukowej, jaką rząd brytyjski przyznał Polakom po wojnie, Polish University College przeszło pod zwierzchnictwo Committee of Education for Poles in Great Britain, lecz kontynuowało swoją pracę w ramach Polish Curriculum czyli w systemie polskim. Byt jego przewidziany był na pięć lat, to znaczy od chwili obecnej jeszcze dwa i pół roku. W ciągu tego czasu, liczono, młodzież wykształcona w polskim systemie szkoły średniej ukończy uczelnię, nie będzie już młodzieży wyszłej z wojska drugiej wojny światowej a pokolenie dzieci emigracyjnych, kończąc szkoły średnie angielskie, studiować będzie w normalnych szkołach akademickich brytyjskich. Było to logiczne. Istniała przy tym zawsze jeszcze możliwość, że w związku z projektami tworzenia eksperymentalnych Colleges of Technology rząd brytyjski może zużytkować w przyszłości istniejące urządzenia i doświadczenie wykładowców polskich dla przekształcenia P.U.C. w jeden z takich, już nie wyłącznie dla Polaków przeznaczony, zakładów. Sugestie w tym kierunku podawał memoriał wykładających na wydziale mechanicznym P.U.C., złożony na ręce pryncypała (mianowanego kierownika uczelni).

Tymczasem w ubiegłym roku akademickim wkrótce po mianowaniu pryncypałem p. Mc. Alpine'a zaczęto wprowadzać na P.U.C., głównie na wydziałach ściśle technicznych, tj. mechanicznym, elektrycznym i inżynierii, zasadnicze a trudne do uzasadnienia zmiany. Zmiany te miały na celu przejście z systemu studiów polskich na angielski. Można by je zrozumieć, gdyby równocześnie Uniwersytet Londyński uznał P.U.C. za jedno ze swoich External Colleges. Wówczas studenci polscy, tracąc korzyści systemu polskiego, otrzymywaliby w zamian przynajmniej możność ubiegania się o brytyjski stopień B. Sc. (Eng.). Uznanie takie jednak nie nastąpiło, a co więcej jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, zważywszy, że uczelnia ma przestać istnieć za dwa i pół roku i już nie przyjmuje początkujących. Bez tego studenci tracą wszelkie korzyści systemu polskiego w postaci zasadniczego przygotowania zawodowego, projektowania, możliwości nostryfikacji w Polsce w przyszłości, a nie zyskują nic w zamian poza bezwartościowym papierkiem stwierdzającym, że ukończyli nieuznawany College.

Odpowiedzialność za rozpoczęte zmiany bynajmniej nie spoczywa na Ministry of Education. Nacisków w tym kierunku z tej strony nie było. Zresztą wskazuje na to zdrowy rozsądek: wedle planu ministerialnego uczelnia przeznaczona jest dla zdemobilizowanych Polaków i ma przestać istnieć za dwa i pół roku. W dodatku program jej dawny jest znacznie bliższy temu, do czego w zakresie wyższego nauczania technicznego w Brytanii się dąży, niż program jeszcze obowiązujący w Collegach technicznych, na który miałoby P.U.C. przejść. Gorliwców nie należy zatem szukać w rządzie brytyjskim ani wśród brytyjskich naukowców. Jakie może być źródło takiej gorliwości? Chwilami trudno się oprzeć wrażeniu, że jest nim troska o to, by, gdy już wyjdą z uczelni ostatni polscy studenci, pozostali nadal w ramach szkolnictwa brytyjskiego byli polscy wykładowcy, przynajmniej niektórzy.

Z wykładowcami też dzieją się rzeczy niepokojące. Na wydziale mechanicznym np. kilku wykładających, w tym także Opiekun Wydziału (namiastka mianowanego dziekana), jest równocześnie pracownikami... misji handlowej Bieruta w Londynie. Stanowią oni solidarny zespół i mają duży, jeśli nie przeważający, wpływ na sprawy wydziału.

Za te reformy płaci młodzież. Przede wszystkim na 1.200 miejsc na uczelni nieobsadzonych jest około 500. Systemem angielskim wprowadzono po pierwszym roku egzamin Intermediate (odpowiadający naszemu egzaminowi wstępnemu). Aby jednak wykazać, że P.U.C. ma poziom nie niższy lecz wyższy od College'ów angielskich, do egzaminu tego nie dopuszczono około jednej trzeciej studentów pierwszego roku. Po tym skreśleniu wynik Intermediate był istotnie lepszy niż w przeciętnym College'u brytyjskim. Poważnym utrudnieniem dla studentów stało się przejście w wykładach z języka polskiego na angielski. Nie dlatego, by wielu studentów za mało znało ten język: już poprzednio część wykładów odbywała się po angielsku, ale dlatego, że wielu wykładowców mówi na tyle oryginalnie po angielsku, że zrozumienie ich wymaga znacznego wysiłku. Przejście na program angielski jest równie ryzykowne: wykładowcy wychowani w systemie polskim, program ten znają tylko schematycznie i trudno im podać go w formie przetrawionej i zrozumiałej.

Szczególnie doświadczeni zostali studenci trzeciego roku wydziałów ściśle technicznych, który ogłoszono za rok przejściowy. Oba systemy krzyżują się tutaj w sposób dla studiującego nieznośny. W tych warunkach liczba odpadających musi być duża. Przy tym chwycono się środków dość drastycznych jak np. usunięcie sporej ilości studentów ostatniego roku, co równa się wykolejeniu szeregu ludzi, i na polskich uczelniach prawie nigdy nie było stosowane.

Młodzież, dla której przecież ta uczelnia została stworzona, odgrywa obecnie rolę królika doświadczalnego. Pozbawiona możności nauczenia się polskiego fachu inżyniera, pozbawiona możności uzyskania angielskiego stopnia naukowego, poddana nowym rygorom, zmuszona do zmiany systemu studiów w połowie kursu, do słuchania wykładów w złym języku obcym, może utracić w każdej chwili stypendium dla celów z jej wykształceniem nic nie mających wspólnego.

Wszelkie zmiany programowe i personalne formalnie firmuje Pryncypał P.U.C., będący w służbowej ale niezbyt ścisłej zależności od rządu. Nie ma żadnego odpowiednika naszej Rady Wydziałowej ani Senatu Akademickiego. W braku tych ciał głos podnieść może i musi opinia polska. I tu sprawę otacza nie całkiem zrozumiałe

---

ś.†p.

**JÓZEF KOWALCZYK**

ur. 13.6.1920 r. w Siedlcach

malarz pokojowy

członek Koła SN w Künsebeck

zmarł śmiercią tragiczną dn. 24.12.1949 r.

Zmarły był gorącym patriotą i gorliwym członkiem SN

Ze smutkiem zawiadamia

**STRONNICTWO NARODOWE**

**na terenie Niemiec**

milczenie. Mimo np. że prasie codziennej znany był fakt pracy niektórych wykładowców w misji bierutowej, nie podano go do wiadomości ogółu.

Skoro nie ma wiążącej decyzji władz brytyjskich ani zgody polskich wykładowców i techników, nie jest jeszcze za późno by uratować co się da, by przynajmniej ostatnie trzy roczniki skończyły P.U.C. w warunkach niegorszych od swoich starszych kolegów.

K. A.

**PRZEGLĄD WYDAWNICTW**

# WIDOKI CYWILIZACJI ZACHODNIEJ

**Arnold Toynbee: THE PROSPECTS OF WESTERN CIVILIZATION. Columbia University Press. Nowy Jork, 1949. Stron 105.**

Cieszący się wielkim rozgłosem, szczególnie w Ameryce, gdzie od pewnego czasu przebywa, prof. Toynbee, jeden z najpopularniejszych historyków angielskich, wygłosił w ubiegłym roku cykl wykładów w Bampton Foundation Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, które ogłosił w postaci książki pod powyższym tytułem. Stanowią one niejako rozważania polityczne na podłożu historiozoficznym, a ich przedmiotem są widoki utrzymania się przy życiu cywilizacji zachodniej. W wywodach jego nie znajdziemy sformułowań rewelacyjnych, w ujęciu problemów politycznych idzie on raczej wydeptanymi już przed nim ścieżkami, rozumowanie jego tchnie jednak spokojem i umiarem, godnym uczonego, przyzwyczajonego do stawiania problemów aktualnych w dalekich perspektywach historycznych i nie poddającego się nerwowości związanej z dniem dzisiejszym.

Toynbee zdaje sobie sprawę, że cywilizacja Zachodu, jest zagrożona. Jego znajomość przeszłości stawia mu przed oczy znikomość wielu innych kultur czy cywilizacji. Mimo to w ocenie trwałości cywilizacji zachodniej zajmuje stanowisko optymistyczne. Formułuje on je dosyć ostrożnie wprawdzie, jak wynika z poniższej jego cytaty na str. 5: „o ile możemy to stwierdzić, z wszystkich cywilizacji umarłych czy żywych, które znamy, nasza własna jest jedyna, która, być może, jeszcze nie jest na schyłku". Z przeszłości czerpie też nie tylko świadomość niebezpieczeństwa, grożącego naszej cywilizacji, ale i konkretnych okoliczności tego zagrożenia.

Wyodrębnia on więc trzy grupy zagadnień, od których pomyślnego rozwiązania uzależniona jest dalsza egzystencja cywilizacji zachodniej. Są to przede wszystkim zagadnienia wojny, klas społecznych i stosunku wzajemnego nauki i religii.

Człowiek stosunkowo wcześnie opanował przyrodę, a jego ostatnie osiągnięcia w tym zakresie dokonane zostały w tempie oszałamiającym. Natomiast nie może się on poszczycić wielkimi sukcesami w zakresie uregulowania pomyślnego swego stosunku do innych ludzi. Również jego stosunek do własnej osobowości i do istoty Boga pozostaje problemem jeszcze dalekim do rozwiązania.

Najgroźniej, jeśli chodzi o bezpośrednie niebezpieczeństwo dla istnienia nie tylko cywilizacji Zachodu, ale wprost samej istoty cywilizacji, ciąży nad nią zagadnienie wojny. „Niepowodzenie w rozwiązaniu problemu wojny — pisze Toynbee na str. 17 — było przyczyną śmierci większości cywilizacji, tych, które zamarły odkąd cywilizacje pojawiły się na widowni; dotąd jednak ludzkość utrzymała się zawsze jeszcze przy życiu i stwarzała nowe cywilizacje na ruinach dawnych. Obecnie znajdujemy się w obliczu sytuacji, w której całe przedsięwzięcie cywilizacji może się skończyć, o ile nie uda się nam rozwiązać problemu wojny".

Człowiek dzisiaj posiadł takie bezprzykładne panowanie nad siłami przyrody, tyle ma w ręku środków i sposobów zniszczenia swego przeciwnika, że sprawa pokojowego ułożenia stosunków międzyludzkich narzuca się w chwili obecnej na czoło zagadnień.

Toynbee widzi w zasadzie dwie drogi uniknięcia wojny, której charakteru niszczycielskiego nikt nie może zaprzeczyć. Albo poddanie się całego świata jednej wielkiej potędze, albo podział świata na dwie wielkie strefy wpływów—amerykańską i rosyjską. Po dwóch wojnach światowych w życiu jednego pokolenia „znaczna większość ludzkości jest obecnie dojrzała do przyjęcia jarzma (ripe for being dominated)". Szerzą się więc w świecie defetyzm i pragnienie pokoju za wszelką cenę. Sytuację psychiczną Francji z 1940 r. odtwarza dzisiaj na wielką skalę większa część globu ziemskiego.

Z drugiej strony postępuje proces redukcji znaczenia dawnych wielkich mocarstw, aż z ośmiu ostały się tylko dwa. Zdaniem autora, hegemonia światowa jednego mocarstwa nie ma widoków realizacyjnych, natomiast przypuszcza on, że świat podzieli się na dwie części za obopólną zgodą dwóch partnerów w wielkiej grze — Ameryki i Rosji. Jest to rozwiązanie w tradycyjnym duchu angielskim, a więc kompromisowe, pozostające w sprzeczności z tezami niektórych pisarzy amerykańskich np. Jamesa Burnhama.

Toynbee zresztą traktuje to rozwiązanie jako coś raczej przejściowego i nie wyłącza możliwości powstania z czasem systemu światowego, który jednak nie przedstawiałby obrazu jednolitego i harmonijnego.

W obecnym stanie rozwoju techniki i ekonomii średnie czy małe jednostki państwowe nie mają warunków egzystencji samodzielnej. Muszą się topić w większej organizacji nadrzędnej. Państwa europejskie, które powstały

w wyniku pierwszej wojny światowej, zniknęły z powierzchni w czasie drugiej wojny światowej nie z powodu przewrotności tych czy innych polityków, lecz dlatego, że były anachronizmami. W momencie bowiem, gdy trzeba było scalać raczej i powiększać terytoria istniejących państw, nastąpił proces odwrotny — ich rozbijania i rozdrabniania.

Autor odnosi się bardzo pozytywnie do idei Unii Zachodniej pod egidą Stanów Zjednoczonych. Blok ten reprezentowałby, zdaniem autora, tak wielką siłę, przewyższającą znacznie siłę Związku Sowieckiego, że nie groziłaby mu ewentualność zaatakowania.

Jeżeli zagadnienie wojny może być rozwiązane z tej przyczyny, że wojna równa się kompletnemu zniszczeniu, zagadnienie klas społecznych jest na dobrej drodze do rozwiązania, ponieważ po raz pierwszy w dobrodziejstwach cywilizacji uczestniczyć może nie tylko wybrana garstka uprzywilejowanych, lecz całe społeczeństwo. Nie przytaczamy obszernych wywodów autora na temat aktualnych zagadnień społecznych i na temat „konfliktu między sercem a głową", innymi słowy religią czy wiarą a nauką czy rozumem, bo rozsadziłoby to ramy zwięzłej recenzji. Przytaczamy tu tylko końcowe słowa książki, bo są one dość charakterystyczne:

„Cokolwiek się stanie, jakakolwiek może być przyszłość człowieka — jeśli czeka go jeszcze przyszłość — na tym świecie, ta przyszłość na tym świecie może być tylko znaleziona na drodze sposobu życia, nasyconego wiarą, że Bóg jest miłością, wiarą, która natchnęła chrześcijaństwo i jest ucieleśniona w życiu samego Chrystusa i w życiu św. Franciszka z Asyżu — wiarą, że Bóg jest Bogiem, który bierze na siebie cierpienia człowieka. Tylko przez cierpienie — a sądzę, że może wielkie cierpienie oczekuje nas jeszcze — człowiek może w końcu uzyskać przebłysk tej zbawczej wizji" (str. 105).

## CNOTY, KTÓRYCH NIE MA

**Hans Rothfels: THE GERMAN OPPOSITION TO HITLER. The Humanist Library. Henry Regnery Company. Hinsdale, Illinois, 1948. Stron 172.**

Autor jest profesorem historii nowożytnej uniwersytetu chicagoskiego, niewątpliwie niemieckiego pochodzenia, o wyraźnie proniemieckich sympatiach.

Jest to jeszcze jedna próba przekonywania publiczności amerykańskiej o istnieniu „dobrych Niemców", o istnieniu niemieckiego ruchu oporu przeciwko reżymowi hitlerowskiemu. Rozprawa Rothfelsa napisana jest nie bez talentu, choć z charakterystyczną niemiecką dążnością do gruntowności naukowej, objawiającą się w mnóstwie przypisków i odsyłaczy.

Autor nie wnosi wiele nowego materiału do przedmiotu niemieckiego ruchu oporu, raczej tylko materiał istniejący i znany z książek niemieckich (Gisevius, Schlabrendorff, Hassell i inni) i amerykańskich (Dulles i inni) autorów porządkuje i systematyzuje. Chociaż skrzętnie zbiera wszystkie okruchy świadczące o opozycji wewnętrznej przeciwko reżymowi hitlerowskiemu, musi się z konieczności obracać w stosunkowo niewielkim kręgu nazwisk i musi rozdymać znaczenie klubów dyskusyjnych, w których uczestniczyli przyzwoici zapewne członkowie kół arystokratycznych z niewielką domieszką intelektualistów lewicowych, do rzędu jakichś przełomowych ruchów wyzwoleńczych.

Poza paru nieudałymi i dyletancko zmontowanymi zamachami na życie Hitlera, autor nie może przytoczyć żadnych konkretnych czynów tego niemieckiego ruchu oporu. Nie było sabotażu, nie było manifestacji publicznych, siły zbrojne i aparat administracyjny pozostały wierne Hitlerowi do ostatniej chwili, drobne wyjątki nie zmieniają postaci rzeczy. Życie intelektualne Niemiec — nauka, publicystyka, sztuka i literatura — podporządkowało się dziwnie łatwo woli nowych panów Niemiec. Również koła gospodarcze i ruch zawodowy nie wytworzyły poważniejszych a choćby nawet słabiutkich odruchów opozycji.

Próba rehabilitacji narodu niemieckiego podjęta w książce Rothfelsa, daje więc rezultaty bardziej niż skromne. Wobec zaognionych stosunków amerykańsko-sowieckich nie brak będzie jednak w opinii amerykańskiej usiłowań, by wśród Niemców znaleźć cnoty, których oni nie posiadają. Książka Rothfelsa jest jednym z pomostów dla osiągnięcia tego celu.

## W OBRONIE LAVALA

**Jacques Baraduc: TOUT CE QU'ON VOUS A CACHE. Préface de Josée Laval. Les Editions de l'Elan. Paryż, 1949. Stron 318.**

Próba rehabilitacji głównych postaci reżymu Vichy we Francji znajduje dość żywy wyraz w całym szeregu publikacji książkowych. Istnieje już dość obfita literatura tłumacząca i usprawiedliwiająca stanowisko zajęte przez Pétaina w czasie wojny. Że stanowisko to było aprobowane do czasu przez znaczny, o ile nawet nie przeważający odłam społeczeństwa francuskiego, powiedzmy w latach 1941-1942, wydaje się nie ulegać wątpliwości.

Laval, który w przeciwieństwie do Pétaina był politykiem „par excellence", a nie tylko postacią niejako symboliczną, budził zapewne więcej zastrzeżeń i sprzeciwów, miał więcej nieprzyjaciół. Uchodził on za gracza niepospolitego, o dość cynicznym podłożu. Była to niewątpliwie indywidualność barwna, pełna dynamizmu, był to człowiek pragnący władzy, lubujący się w szermierce politycznej, skory do zadawania i przyjmowania razów.

Z przytoczonych w książce dokumentów niemieckich i zeznań oskarżonych i świadków procesu norymberskiego zdaje się wynikać, że Laval bynajmniej nie był zaprzedańcem niemieckim i że energicznie i nie bez powodzenia bronił interesów narodu francuskiego wobec okupanta niemieckiego.

W szeregu rozdziałów przedstawiona jest działalność Lavala w czasie wojny. Autor książki w konkluzji stwierdza, że Lavalowi udało się udaremnić częściowo plany gauleitera Saucka, by znaczną część robotników francuskich przenieść do pracy w Rzeszy; dalej udało mu się uchronić przed zniszczeniem przemysł francuski, zapewnić społeczeństwu francuskiemu środki egzystencji, obniżyć poważnie koszty okupacji, uratować franka, odwrócić od kraju niebezpieczeństwo „polonizacji" (czyli traktowania Francuzów jak niewolników czy helotów), wreszcie udaremnić popadnięcie w ręce nieprzyjaciela zamorskiego imperium francuskiego, floty i złota. Udało mu się złagodzenie represji w stosunku do Francuzów, m.in. również uratowanie znacznej większości zakładników.

Jakby wynikało z niektórych wypowiedzi, Niemcy spostrzegli się z czasem, że Lavalowi nie mogą ufać.

Historia nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa o kolaborantach francuskich. My, Polacy, zapłaciliśmy straszliwą cenę za swoją niezłomną postawę wobec najeźdźcy. Klimat moralno-polityczny Francji był inny i na tym tle wyrosnąć mogła działalność Lavala inspirowana niewątpliwie również chęcią służenia interesom Francji. Gdy karta się odwróciła, Laval został potępiony. Podzielił z innymi los kozła ofiarnego. Zapłacił za odwagę przyjęcia odpowiedzialności za kurs, który był zgodny z przekonaniami bodaj czy nie większości jego społeczeństwa, które chciało uniknąć dalszych ofiar.

(m.ost.)



## KAPITAN WIELKIEJ PRZYGODY

**Sergiusz Piasecki: BOGOM NOCY RÓWNI. Modern Writing Ltd. Londyn, 1950. Stron 420, z portretem autora i 3 mapkami. Cena 15/6. Skład główny: Centralna Składnica Książek SPK.**

Londyńskie wydanie „Bogom nocy równi" jest połączeniem dwóch przedwojennych powieści Sergiusza Piaseckiego, jednej pod tym samym tytułem i drugiej pt. „Piąty etap". Obie książki oparte są na przeżyciach autora jako agenta polskiego wywiadu, pracującego w Rosji w latach dwudziestych. Miały one w swoim czasie nadzwyczajną wprost koniunkturę. Okres Wielkiej Przygody — jej awanturnicze dzieje, służba wywiadowcza, dywersja antysowiecka, przemytnictwo, bandytyzm i wreszcie więzienie na Świętym Krzyżu, tworzyły wokół Piaseckiego atmosferę niecodziennej sensacji i zapewniły odrazu jego książkom wielką poczytność.

Piasecki spotykał się przed wojną z zarzutem, wysuwanym nawet czasami z najmniej spodziewanej strony, iż nie oddaje prawdy o Sowietach, że jest przesadny w opisach nędzy duchowej i materialnej Rosji. Późniejsze lata okupacji sowieckiej potwierdziły jednak w całej pełni literacki obraz bolszewickiego raju. — I nie byłby Piasecki urodzonym pisarzem, gdyby nie skorzystał z nadarzającej się szczęśliwie okazji drugiego nakła-

du. Książki Piaseckiego są dziś w kraju, rzecz całkiem zrozumiała, bezwzględnie tępione, dlatego dopiero po wielu staraniach i trudach udało się sprowadzić przypadkowo znalezione i w dodatku niekompletne egzemplarze. Z nich powstało obecne zrekonstruowane wydanie w jednym tomie i pod jednym tytułem.

Sergiusz Piasecki raczej unika syntezy, nie szuka specjalnie wniosków psychologicznych, pisze reportażowo-sensacyjnie, co jest na pewno najlepszą stroną jego prac. „Bogom nocy równi" utrzymane w tym właśnie tonie pasjonującego romansu sensacyjnego czyta się od razu, z niesłabnącym zainteresowaniem.

Książka wydana jest bardzo starannie.

## MATERIAŁY OŚWIATOWE SPK

**O ADAMIE MICKIEWICZU. Materiały oświatowe. Wydawnictwo Wydziału Kultury i Oświaty Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Londyn, 1949. Stron 48.**

Książeczka-broszura poświęcona Mickiewiczowi mówi o nim, i on sam w niej mówi do nas. Pomyślana jest jako zbiór materiałów przydatnych do urządzania wieczorów artystycznych w środowisku polskim. Składają się na nią: dwa odczyty opracowane przez Tymona Terleckiego i Zygmunta Nowakowskiego, wybór poezji i prozy Mickiewicza, wiersze o poecie Stanisława Balińskiego, Mariana Czuchnowskiego i Xawerego Glinki oraz zebrana przez Jana Bielatowicza bibliografia obejmująca lata 1939—49.

* * *

**O JULIUSZU SŁOWACKIM. Materiały oświatowe. Wydawnictwo Wydziału Kultury i Oświaty Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Londyn, 1949. Stron 67.**

Czwartą z kolei broszurą oświatową SPK jest wydany w połowie grudnia ub. r. zeszyt „O Juliuszu Słowackim". „Księga pamiątkowa" zawierająca prace uczonych polskich i obcych o Słowackim wskutek trudności technicznych wyjdzie z druku dopiero w tym roku. Dobrze się więc stało, że w roku, w którym obchodziliśmy setną rocznicę zgonu Słowackiego ukazała się choć skromna publikacja poświęcona wielkiemu poecie.

Zeszyt zawiera obszerne prace Jana Bielatowicza i Zygmunta Nowakowskiego, wybór poezji i prozy poety, bibliografię zebraną przez J. Bielatowicza, wstęp i uwagi instrukcyjne redaktorki Materiałów p. Zofii Kasprzyckiej, oraz wiersze o Słowackim Mariana Czuchnowskiego, Bronisława Przyłuskiego, Jana Lechonia a także... dwóch słabych, bolszewickich poetów: Jarosława Iwaszkiewicza i Mieczysława Jastruna.

Obie książeczki, wydane sposobem fotolitograficznym, mają skromny ale estetyczny charakter. Okładki wykonał i zdobił tekst artysta grafik Stanisław Gliwa.

Swoje zadanie zbliżenia do emigracji obu Wieszczów spełnią niewątpliwie.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

# WIECZÓR »MYŚLI POLSKIEJ«

Wieczór „Myśli Polskiej", poświęcony zagadnieniu „Spojrzenia na emigrację", tym razem w sali teatralnej „Białego Orła", odbył się dnia 16 stycznia przy szczelnie wypełnionej widowni.

Zagaił red. W. Wasiutyński cytatą z Homera w oryginale i wskazywał, że emigracja polityczna jest zjawiskiem odwiecznym i towarzyszy wszelkim kryzysom cywilizacyjno-politycznym, a Odyseusza można by uznać za patrona emigrantów w literaturze. Zadaniem wieczoru jest spojrzeć na naszą emigrację z pewnej perspektywy.

Następny mówca, p. S. Łochtin, stwierdził najpierw na przykładach historycznych, że co najmniej równa ilość emigracji wróciła jak niewróciła i że twierdzenia w rodzaju tego, że „emigracje nie wracają" są wyrazem złego samopoczucia mówiącego a nie żadnej prawdy historycznej. Nie wracają te, które zrezygnują, to na pewno. Zadaniem naszej emigracji nie jest zdobycie wiedzy technicznej i administracyjnej, bo ta z konieczności wytwarza się w kraju, lecz wychowanie kadry działaczy politycznych i dobrych obywateli nowoczesnego cywilizowanego państwa. To, że pracujemy dla chleba nie jest żadną wymówką dla nie zajmowania się sprawą publiczną. W kraju ludzie zmuszani są do pracy nad siły i nigdy nie zrozumią naszych opowiadań o weekendzie i overtimie. Trzeba działać over-time.

Z kolei p. Wasiutyński zwrócił uwagę, że nigdzie bodaj krok od wzniosłości do śmieszności nie jest tak mały jak w życiu emigracyjnym z jego dysproporcją między poczuciem odpowiedzialności za wielkie sprawy a małymi możliwościami działania. Dostrzeganie humorystycznej strony emigracji jest dowodem zdrowia środowiska. Na dowód, że nawet tak koturnowa emigracja polska z połowy ubiegłego wieku zdobywała się na humor, odczytał wiersz satyryczny Koźmiana o przygodach emigranta polskiego w Londynie w latach czterdziestych wieku dziewiętnastego, posiadający wiele akcentów aktualnych, po czym udzielił głosu red. Trościance.

P. W. Trościanko odczytał żywo przyjętą przez publiczność satyrę w formie dalszego ciągu przygód Guliwera. Mamy nadzieję móc ją ogłosić w niedługim czasie na łamach naszego pisma.

Po tym spojrzeniu na emigrację z góry i z dołu, przewodniczący zapowiedział spojrzenie niejako z boku, przez porównanie, udzielając głosu p. A. Dargasowi.

P. Dargas dał zwięzłą charakterystykę emigracji innych narodów zza żelaznej kurtyny i ich stosunku do naszej emigracji, następnie scharakteryzował poszczególne główne nawarstwienia emigracji polskiej i wreszcie przeprowadził porównanie z ludźmi z szarej masy emigranckiej ubiegłego wieku, podając za przykład ofiarność i ideowość poszczególnych jej członków.

Pełne świeżości i bardzo krytyczne przemówienie o stosunku tych Polaków, którzy dojrzeli już na emigracji do środowiska emigracyjnego wygłosił p. Andrzej Wnęk, student. Dał on obraz zgorzknienia tego najmłodszego pokolenia emigracyjnego a zarazem i tego, co śmieszy je w życiu emigracyjnym i odstręcza od niego zwłaszcza w dziedzinie przerostu i nierealności życia organizacyjno-społecznego.

Przewodniczący zamknął zebranie omówieniem powrotu Odyseusza na Itakę i drugą cytatą z Homera.

## KONFERENCJA SN W BELGII

W Brukseli odbyła się ostatnio całodzienna konferencja działaczy SN z Belgii.

Zjazd rozpoczął się mszą św. na intencję Romana Dmowskiego, którą odprawił przybyły na krótko do Europy ks. Czesław Skowronek, wicerektor uniwersytetu katolickiego w Santiago (Chile). Na nabożeństwo przybyła licznie Polonia belgijska.

Pierwsza częsc obrad konferencji, która odbywała się w świetlicy Towarzystwa Pomocy Polakom obejmowała zagajenie przez przewodniczącego Wydziału SN, apel poległych członków Stronnictwa oraz dwa odczyty. Pierwszy z nich — „O wytycznych polityki SN w czasie wojny i obecnie", wygłoszony przez kol. Jana Barańskiego — dał początek dłuższej dyskusji. Drugi, odczytany przez niedawno przybyłego do Belgii kol. Jana Kaczmarka, był doskonałą syntezą zagadnienia sowietyzacji Polski na płaszczyźnie gospodarczej.

Obecni byli, obok członków Wydziału SN działacze z Brukseli, Louvain, Liege i Gandawy; nie mogli przybyć przedstawiciel okręgu górniczego Mons oraz przedstawiciel z Antwerpii. Na pierwszą część konferencji zaproszono też niektórych sympatyków SN.

Po przerwie konferencja zajęła się sprawami organizacyjnymi. Sprawozdanie wydziału wykonawczego składał kol. Maciej Cybulski. Wymianę informacji i wskazówek dla poszczególnych okręgów Belgii zakończył zarys programu przyszłej pracy.

Zamknięciem zjazdu, który uznać należy za udany i potrzebny, był „Opłatek koleżeński" Stronnictwa Narodowego, dając okazję kolegom i ich rodzinom spędzenia paru godzin przy lampce wina w serdecznej atmosferze.

## ZJAZD KOŁA AK

W dniach 21 i 22 stycznia odbył się zjazd walny Koła AK. Zjazd był licznie obesłany, głównie przez delegacje z Brytanii i zachodniej Europy. Na otwarciu zjazdu obecni byli m. in. Prezydent R. P. August Zaleski, gen. W. Anders, prezes T. Arciszewski, min. Z. Berezowski, gen. Bór-Komorowski.

Zjazd postanowił przedłużyć kadencję władz z roku na dwa lata i zwiększyć ilość członków Rady do trzydziestu.

Wybrano nowe władze: Radę, Sąd i Komisję Rewizyjną. Zarząd wybierany jest przez Radę. W nowej Radzie

znaleźli się przedstawiciele wszystkich kierunków, które złożyły się w kraju na powstanie Armii Krajowej. Przedstawiciele tzw. sanacji znaleźli się w niej w wyraźnej mniejszości.



## Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU OŚWIATY

„Committee for the Education of Poles in Great Britain" ogłosił sprawozdanie z działalności za ubiegły rok, ściśle do końca marca 1949. Organizacja ta powołana przez Ministry of Education gra wielką rolę w życiu Polaków w Brytanii, większą niż sobie ludzie na ogół zdają sprawę i rola ta, trzeba powiedzieć, jest w sumie dobroczynna. Komitet prowadzi przedszkola i szkoły polskie w obozach, polskie szkoły średnie ogólnokształcące w liczbie czterech (jedną męską, dwie żeńskie i jedną mieszaną), szkołę rolniczą trzyletnią i roczną handlową, Polish University College, ponadto utrzymuje w obozach Assistance Board tzw. Educational Organisers i nauczycieli angielskiego, udziela stypendiów około tysiącowi młodzieży polskiej w szkołach średnich angielskich, półtora tysiącowi w szkołach wyższych, subwencji około 200 funtów miesięcznie Związkowi Harcerstwa.

W roku 1948/49 budżet Komitetu wynosił półtora miliona funtów. W tym roku jest już niewątpliwie mniejszy. Agendy Komitetu stopniowo bowiem ulegają likwidacji. Zamknięto już w roku ubiegłym wydział lekarski w Edynburgu, w tym roku przestano przyjmować na pierwszy rok słuchaczów na Polish University College. Ma ulec likwidacji jedna ze szkół średnich i część szkół powszechnych. Były to bowiem wszystko zakłady przeznaczone dla młodzieży nie znającej dostatecznie języka angielskiego. Obecnie młodzież polska może już iść bezpośrednio do szkół angielskich.

Byłoby rzeczą niezmiernie ważną, by z chwilą, gdy zamknięte zostaną odrębne szkoły polskie, co nastąpi ostatecznie za jakieś trzy lata, pozostawiono pomoc stypendialną dla młodzieży polskiej, której przecież trudniej jest uzyskać stypendia angielskie niż miejscowym, oraz bibliotekę P.U.C., największą bibliotekę polską w Anglii.

Komitet jest organem rządowym brytyjskim. Na jego czele stoi Sir George Gater. Właściwy komitet liczy dwunastu członków, w tym trzech Polaków (pp. M. Giergielewicz, S. Grocholski i E. Raczyński).

# LISTY DO REDAKCJI

*(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)*

## SAPIENTI SAT

Szanowny Panie Redaktorze,

Z końcem listopada 1949 r. przesłałem do redakcji „Dziennika Polskiego" w Londynie sprawozdanie z życia Polaków w rejonie Cheltenham. Sprawozdanie to ukazało się w „Dzienniku" w dniu 15 grudnia 1949 r., przy czym skreślono następujące ustępy: „Pierwszy odczyt pt. Rola i zadania obecnej emigracji wygłosił red. Wasiutyński z Londynu" (jedyne zdanie skreślone z pierwszej części sprawozdania), w drugiej części skreślono cały ustęp końcowy, a mianowicie:

Przy pełnej sali, udekorowanej sztandarem biało-czerwonym i orłem białym, p. T. Dąbrowicki wygłosił przemówienie, pełne oryginalnych myśli, odbiegających od przeciętnych i oklepanych frazesów, jakie Polacy corocznie przywykli słuchać na akademiach obozowych. Mówca podkreślił, że niepodległość zdobyliśmy przede wszystkim i głównie nie dzięki zbrojnemu wysiłkowi tylko, ale dzięki należytej myśli i działaniu politycznemu na tle ówczesnych warunków międzynarodowych. Czyn zbrojny zaś szedł zawsze podporządkowany czynnikom politycznym, a nie odwrotnie. Jakkolwiek w ostatniej wojnie warunki polityczne nie były nam sprzyjające i kierownicy polityczni nie dorównali przywódcom z czasu wojny poprzedniej, to jednak sprawa polska nie jest jeszcze ostatecznie załatwiona. Jesteśmy w połowie drogi i mamy obowiązek w myśl słów Słowackiego „z wyszczerzonymi oczyma patrzeć w naszą przyszłość", znaleźć należytą, własną myśl i kierunek polityczny niepodlegający wpływom obcych potencji oraz należytych jego wykonawców. Organizatorom akademii należy się specjalne słowo uznania za zachęcenie do czynnego udziału w uroczystości młodzieży polskiej ze szkół angielskich. Dwóch uczniów miejscowej Grammar Schooll wygłosiło wiersze pt. „Wojna bez pieśni" I. Balińskiego i A. Słonimskiego „Ziemia", b. uczennica gimnazjum polskiego ze Stowell Parku odśpiewała pieśń „Rozkwitały pąki białych róż". Akademię otwarto wspaniałym „Jestem Polakiem" Dmowskiego, a zakończono wyjątkiem z jego dzieła „Polityka polska i odbudowanie państwa" słowami: „Gdy Polak będzie zmuszony do walki to tylko za swoją sprawę, za Polskę".

Dnia 3 stycznia b. r. wysłałem do redakcji „Dziennika Polskiego" list z zapytaniem i prośbą o wyjaśnienie, jakimi motywami kierowała się redakcja skreślając tę część sprawozdania, która omawia czynny udział młodzieży polskiej ze szkół angielskich w uroczystościach narodowych, oraz nazwiska Romana Dmowskiego i red. Wasiutyńskiego.

Obecnie otrzymałem list z redakcji „Dziennika" gdzie poza wzmianką, iż redakcja ma prawo czynienia zmian w rękopisach wg własnego uznania, umieszczone jest zdanie następujące: „W poruszonym przez Pana przypadku wiadomość została skrócona ze względów technicznych, a nie politycznych".

Sądzę, że odpowiedź nie wymaga komentarzy — „sapienti sat", niech czytelnik znajdzie odpowiedź sam.

**INŻ. T. KOLASIŃSKI**





„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W.8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska" by „Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD 9734. February 1 1950